

Są takie miejsca...

Są miejsca gdzieś daleko, miejsca tajemnicze i dzikie. Gdzie można pójść jedynie po to, żeby usiąść i nawet nie myśleć, tylko otworzyć siebie. Ułożyć się na ziemi i poczuć TO, co daje moc i siłę. Wysłuchać opowieści traw i mchów, rozpoznawać co zapisane jest w drzewach i przyjąć do wewnątrz ciszę, spokój i harmonię, zaklęte w powietrzu.

Jak bardzo potrzebujemy takich doświadczeń, żebyśmy nie zapomnieli o sobie - wrażliwym, przyjaznym, jednym z wielu - żebyśmy nie zapomnieli o tym jak było na Początku.

Kiedy szliśmy górkimi lasami, błotnistymi przecinkami, brudni, mokrzy, zmęczeni, w poszukiwaniu ukojenia gniewu, jaki przyniosły ostatnie wydarzenia, takie miejsca były bardzo potrzebne. I były. Pojawiały się niespodziewanie ku naszej radości i pokrzepieniu. Byliśmy obdarowywani. Tymi darami był zaskoczony jelen, pstrągi w potoku, rozmowa z krukiem i trop wilka oraz snująca się nad dolinami i lasami mgła. A także stara kobieta napotkana przypadkiem, co wierzyła, że owa mgła to opary warzonego przez niedźwiedzie leśnego piwa.

Noc, ogień, stare drzewo chroniące od wiatru, ciepła strawa i jedna łyżka dla wszystkich. A o świcie poranny dotyk deszczu. Tak hojnie obdarowani staliśmy się szybko dłużnikami.

Były też miejsca, których obraz ranił serca i wyobrażenie piękna, powodował szalone myśli. Wszędzie tam gdzie dotarł człowiek cywilizowany duch lasu został wypędzony. Człowiek przyszedł i zabrał wszystko to, co można zamienić na pieniądze, zostawiając tylko okaleczone drzewa, zrytą maszynami ziemię, spaliny i hałas. Bez umiaru, bez zrozumienia, bez uważności. Przychodziliśmy na miejsca, z których człowiek odszedł pozostawiając po sobie pomnik, wymowny symbol ludzkiej żądzy panowania i niszczenia.

Stoi więc na skraju polanki świadectwo hipokryzji, zwiastun cierpienia i zbrodni - myśliwska ambona.

Pojawiło się nagle zainteresowanie naszym pobytem prawdopodobnie ze strony myśliwych. Kilka godzin po oznakowaniu ambony, schodząc ku asfaltowej drodze byliśmy świadkami nerwowego rajdu wzdłuż stoku i penetrowania stokówek przez żółty samochód. Schowani w rowach i krzakach poczuliśmy się jak wilki, co jeszcze bardziej zbliżyło nas do tych zwierząt j zdeterminowało do działania.

Przebudziłem się spocony. Przecież to grudzień, czas polowania na wilki, a tu nie widać śniegu, niebo rozgwieżdżone i noce, których się nie da przespać w zimowym śpiworze dostosowanym do - 30 °C.

Po chwili budzimy się wszyscy. Mrok się rozrzedza, bledną gwiazdy. Gotujemy herbatę, jemy śniadanie i schodzimy wczesnym świtem w kierunku potoku w dole.

Idziemy szeroką ławą, z dala od siebie, przeczesując okolicę w poszukiwaniu myśliwskich ambon, jeden od drugiego w odległości co najmniej kilkudziesięciu metrów.

Spotykamy się przy potoku. Szumi, bulgocze i wspaniale gasi pragnienie. Zaraz za potokiem rozpoczynają się szerokie połoniny, poprzecinane gdzieniegdzie drogami prowadzącymi w głąb lasu. Takie granice między lasem i otwartą przestrzenią to właśnie dobre miejsce na ambony. Rozdzielamy

się. My podążamy granicą olszynki. Mijamy szeroki pas powalonych drzewek, potężną lukę w zwartej olszynie. Wygląda to jak po przejściu stada słońi, ale takich słońi na gąsienicach. Idziemy tym traktem powalonych drzew, przeczesując kolejne polanki. Dochodzimy do łagodnej płazowizny przeoranej masą dróg. Spośród nich wybieramy tę, której koleiny wyłobiły koła gazika. Droga prowadzi prosto pod górę. Jest rozjeżdżona i grząska, na błocie przeplatają się tropy jeleni, dzików i... jest trop wilka. Chociaż pojedynczy, ale bardzo wyraźny. Za chwilę dołączają do niego inne: Z lewej, potem z prawej.

Idziemy za tym tropem, a on urywa się pod amboną. To nęcisko, na którym leży mnóstwo kości byłą domowego. Ambona jest solidna, nowa, zbudowana w miejscu poprzedniej, która spłonęła, o czym świadczą zebrane na kupę, osmolone żerdzie. Nowa świeci jasnymi deskami odcinającymi się na tle czarnej linii lasu.

Bierzemy się do pracy. Znakujemy drzewa substancją zapachową w promieniu 30 metrów wokół ambony, a także samą ambonę. Jeszcze tylko piękny napis, parę naklejek z hasłem: „Uwaga, obszar kontrolowany przez Puszcę Walczącą” i opuszczamy to smutne miejsce. Mamy nadzieję, że tutaj wilki już szybko nie podejdą - za bardzo śmierdzi człowiekiem. Machamy do siebie zadowoleni z wykonanej pracy i truchtem oddalamy się na południowy stok, gdzie powinni czekać na nas koledzy.

W oddali słychać znane brzęczenie pracujących pił. Gdzieś tam trwa praca przy wycinaniu lasu. Przechodzimy przez potok i on koi szumem nasze umysły.

Nie wiem, co w tym wszystkim ważniejsze: praktyczna praca ratująca ileś tam zwierząt przed kulami myśliwych, echo naszych działań w środkach przekazu - co może zachęcić innych do czynów w obronie wilków i powstrzymać łowieckie lobby przed niepohamowaną chęcią zabijania, czy po prostu przeżywanie wspólnoty z cudownym światem dzikiej przyrody? Kiedy budzisz się na stoku i kiedy dziękujesz górze za sny, ogniovi za ciepło, a drodze za ból w nogach, który aż krzyczy - wówczas naprawdę żyjesz.

Nie chodzi tu o naiwny, romantyczny obraz przygody w Bieszczadach. Po prostu, najlepsze co można zrobić dla siebie samego to właśnie zrobienie czegoś dla przyrody, to działanie dla i z naturą wszechrzeczy, działanie dla podtrzymywania tego cudownego porządku trwania.

Gdzieś w głębi starego pnia rodzi się oddech. I mój i twój i wilcza łąza...

Z wilczym pozdrowieniem

Puszcza Walcząca